

Inne miłości

Z ANNA DYMNA rozmawia Jan Strzałka

ANNA DYMNA: – Może pan chwilę zaczekać? Muszę nastawić zupę.

JAN STRZAŁKA: – *Przecież zamierza Pani wyjść z domu i wrócić późnym wieczorem. Mąż cały dzień spędza na mieście. Po co więc zupa?*

– Żeby złapać pion moralny. W moim życiu gotowanie zupy nie jest błahą sprawą. Nie chcę narzekać, ale wzięłam na siebie tysiące obowiązków, które chwilami zaczynają mnie lekko przerastać: robię spektakl z niepełnosprawnymi podopiecznymi, prowadzę warsztaty terapii artystycznej dla osób niepełnosprawnych intelektualnie, jestem gospodynią Krakowskiego Salonu Poezji, prowadzę i przygotowuję telewizyjny program „Spotkajmy się”, gram w Teatrze Starym, wykładam w krakowskiej PWST. Poza tym mam dom, syna i męża, koty i ogród. Półtora roku temu założyłam Fundację „Mimo Wszystko”, więc kontaktuję się z tysiącami ludzi, wiszę na telefonie i piszę setki pism urzędowych. Wiedziałam, co mnie czeka, gdy rzucałam się w wir pracy społecznej, ale wiedziałam też, że poradzę sobie w tym chaosie, bo umiem łapać równowagę życiową. Oczywiście, podczas bezsennych nocy ogarnia mnie przerażenie, czy nie pogubię się w nawale obowiązków – i pewnie tak by się stało, gdyby nie wsparcie współpracowników z Fundacji.

A co ma zupa do chaosu? Jestem aktorką, ale nie czuję się dobrze wśród tłumów. Pozostałam nieśmiała, tymczasem ludzie przypatrują mi się, jak wszystkim osobom publicznym. Dlatego gotuję zupę – przy kuchni łapię pion, czuję się sobą i znajduję spokój. Niech pan nie myśli, że dzisiejsza zupa się zmarumuje: coś zjemy, a resztę schowam do lodówki – może syn zgłodnieje i zatęskni za mamą?

– *Pani rodzina nie zna niepowtarzalnego smaku zupy z torebki?*

– Gdyby pan spróbował mojego żurku, nie zadawałby takich pytań! Urodziłam się w domu, w którym rodzice wszystko robili własnymi rękoma i własnym pomysłem: ojciec znajdował dla mamy pralkę, odkurzacz i piekarnik. Taką smykalkę miał też Wiesiu Dymny, mój pierwszy mąż: sami szyliśmy ubrania, robiliśmy meble, murowaliśmy ściany. „Aniu – mówił Wiesiek – może ściana wyjdzie krzywo, ale to będzie nasza ściana, i nikt nie będzie miał takich krzesel, jakie zrobimy”. Mieszkailiśmy na strychu, ale fantastycznie urządzone. Niestety, spalił się trzy miesiące przed śmiercią Wiesia. Ktoś, kto go nie znał, mógł sądzić, że był cyganem z Piwnicy pod Baranami, tymczasem był przywiązany do tradycji, rodziny i domu. Dzięki temu, że w młodości spotkałam tak cudownego mężczyznę jak Dymny – wiem, co jest wartością, i chodzę po ziemi.

Miłości szukaj poza teatrem

Dawno bym się załamała, gdyby nie ta przysłowiowa zupa. Ktoś inny musi się napić wódki albo kupić samochód. Ja gotuję zupę. Gdy mam więcej czasu, robię pikle,

soki, nalewkę z pigwy, zaś pełnię szczęścia osiągam idąc z przyjaciółką na plac, by poszukać bruszniczy. Jeszcze nim zaczęłam pracować społecznie, starałam się łapać w życiu harmonię. Aktorstwo – jeśli się je traktuje poważnie – to ciężki kawałek chleba i obciążająca psychicznie harówka. Miałam szczęście pracować z największymi indywidualnościami artystycznymi, które potrafią wywoływać niezwykle emocje. Aktor może więc zwariować od nadmiaru napięcia nerwowego. By nie ulec destrukcyjnej sile aktorstwa, całe życie uczę się czerpać z mojego zawodu korzyści – nauczyłam się np. tolerancji i wyrozumiałości wobec ludzi, z którymi pracuję. Muszę też być tolerancyjna wobec postaci. Jak mogłabym zagrać np. prostytutkę należącą do konserwatywnej partii obyczajowych oszołomów? Aktorstwo jest wysiłkiem zrozumienia innego człowieka, sztuką odkrywania w nim człowieczeństwa i – przynajmniej w moim przypadku – iskry dobroci. Moja mama powtarzała, że nie ma złych ludzi. Też uważam, że nie ma ludzi złych, choć bywają okaleczeni i nawet nie domyślają się lub nie wierzą, że mogą być dobrzy.

– *Jak bohaterka sztuki Janusza Głowackiego „Antyгона w Nowym Jorku”?*

– Na przykład. To kobieta zredukowana i zdegenerowana, bo zgwałcona w dzieciństwie, niemniej całe życie poszukująca miłości.

Jako że wybrałam destrukcyjny zawód, od dawna zastanawiałam się, jak poczuć szczęście płynące z tego, że go wykonuję. Zapytałam kiedyś Zofię Jaroszewską – wielką aktorkę, przy boku której grałam w „Nocy listopadowej” w reżyserii Andrzeja Wajdy, ona wcieliła się w postać Demeter, ja jej córki Kory – dlaczego nie ma dzieci. Dziś nie śmiałabym zadawać podobnych pytań, ale wówczas byłam prostolinijnym podlotkiem. Odpowiedziała tak, jak należy odpowiedzieć młodej gąsce: „Bo aktorstwo wymaga całkowitego poświęcenia”. Wiele lat później powiedziała jednak: „Aniu, nie zapomnij nigdy, że ten zawód jest okrutny. Jeśli poświęcisz teatrowi całe życie, nie spodziewaj się po nim wdzięczności – w pewnym momencie teatr cię odrzuci i zostaniesz sama tak jak ja, która proszę cię teraz, żebyś stanęła w kolejce z moimi kartkami na mięso”. Robiłam jej zakupy, bo czułam się jej córką. Stojąc w kolejce, rozpamiętywałam słowa pani Zofii: „Szukaj miłości poza teatrem”. Chciałam więc urodzić dziecko, mieć dom, gotować zupę, stworzyć azyl i prywatny świat, gdzie oddam się innym miłościom. No i mam dziś takie miejsce. Zbliża się Wielkanoc, której nie mogę się doczekać...

– *Obchodzi Pani święta tak jak rodzice?*

– W naszym domu zawsze brakowało pieniędzy, ale byliśmy szczęśliwą rodziną. Bracia i ja byliśmy w siódmym niebie, gdy

przed Bożym Narodzeniem kleiliśmy łańcuchy i zabawki na choinkę, a na Wielkanoc malowaliśmy jajka. Święta porządkowały nasze życie: jeśli mieliśmy do siebie jakieś żale, godziliśmy się. I to jest najpiękniejsza tradycja, jaką przenieśliśmy z domu rodzinnego do własnego. Staram się też tworzyć swoje tradycje: od kilku lat urządzam tzw. Baranki, na które zapraszam współpracowników z Fundacji, przyjaciół i krewnych. Umawiamy się przed Wielkim Tygodniem na wieczór przy winie i bakaliach. Robimy masę solną – kilo soli, kilo mąki, nieco kleju do tapet, łyżka oliwy – wszystko wyrobione wodą – i lepimy świnki, zajaczki, baranki, które potem zdobią kołyszczki do święconki. Może to nikomu nie potrzebna głupota, ale rzecz w tym, by się spotkać z ludźmi, których się lubi i kocha.

Jajka oczywiście maluję i święcę, a wycinam ozdoby ozdobione krzyżykiem zanoszę na groby krewnych i przyjaciół. Nie wiem, czy zmarli je widzą, ale jeśli tak, może sprawi im to radość? Przed Bożym Narodzeniem zapraszam zaś na Aniolki, bo dotąd sama robię zabawki na choinkę. Te spotkania są chwilami, kiedy czuję się szczęśliwa.

– *Wielu z nas święta nie dają radości, lecz pripraviają o depresję. Tysiące Europejczyków – w tym Polacy – ucieka przed świętami do Tajlandii czy Złotokopanego.*

– Nigdy nie przyszło mi to do głowy, być może dlatego, że dopiero niedawno odeszli moi rodzice. Nadchodzą drugie święta wielkanocne bez Mamy i Taty, i to prawdziwy powód, dla którego można cierpieć przy świątecznym stole – brakuje tych, którzy siedzieli przy nim zawsze. Czasami po Wigiliu wyjeżdżam z mężem w góry, ale święta to dla mnie największa świętość. Być może ludzie uciekają w tropiki, bo nie mają z kim

Spotykam się z młodymi ludźmi skazanymi na śmierć, ale są to ludzie mężni i cieszący się każdą chwilą, jaką darował im los. Dzięki nim nie przejmuję się, słysząc, że Dymna założyła Fundację, bo zachciało jej się grać Matkę Boską.

się spotkać albo nie umieją przeżyć spotkania z najbliższymi? Łatwo powiedzieć: depresja, niechęć do tradycji itp. Każda rodzina ma jednak tajemnice, cierpienia, nierozwiązane konflikty, przed którymi najłatwiej uciec z biurem podróży. Tymczasem marnuje się niepowtarzalną okazją, jaką daje nam tradycja – usiąść przy świątecznym stole i zacząć rozmawiać. Jeśli coś się nam w życiu nie uda, pobłędzimy, dzięki tradycji mamy do kogo i do czego wracać. Choćby do wspomnień o tych, którzy odeszli.

chował s
i Mrozk
zrywa z
– Czyn
– Na 2
czytałam
re listy, kt
obresie n
sty miłos
wane, że
się pisze
dać i mar
wygląda
noje wsp
mam pan
w pamię

zbiegli się
pamięci:
jednak pi
już, moge
które był
łości, ale
przedzej c

Czy j

Tylko n
brakuje. I
sceny, a



– *Wspomniała Panna Dymnego. Czy nie jest on artystą cokolwiek zapomnianym? Jego utwory zebrane ukazały się 25 lat temu, rzadko powtarza się filmy zrealizowane według jego scenariuszy.*

– Mam nadzieję, że kiedyś wydam wszystko. Mam tysiące zapisanych przez Wiesia słów, ale często są to strzępy, rzeczy niedokończone, na pół spalone, bo wiele spłonęło w pożarze naszego strychu. Kiedyś wydawnictwo Muza zaproponowało wydanie wszystkiego, co Wiesiek napisał. Wydano „Opowiadania zwykle”, scenariusz „Droga na zachód” i... koniec, a planowano wydanie nie publikowanych poematów, tekstów kabaretowych, piosenek, rysunków. Muza straciła jednak zainteresowanie.

Po śmierci Wiesia pozbierałam strzępy kopert i serwetek kawiarnianych, na których zazwyczaj pisywał wiersze i poematy. Ocalałam np. „operę obsceniczną” zatytułowaną „Polska karczma żydowska”, którą Krzysztof Jasiński wystawił pt. „Kur zapiał”. Rzeczywiście, rzecz obsceniczna, po premierze wybuchł skandal co się zowie; myślałam, że ze wstydu zapadnę się pod ziemię. Teraz dopiero dojrzewam i rozumiem jego poezję. Pisał np.: „Ból to ciul, najważniejsza jest świadomość”. Niby stek bzdur, ale przygotowując programy z niepełnosprawnymi odkrywam, że słowa „Ból to ciul, najważniejsza jest świadomość” okazują się nieprawdopodobną mądrością. W obscenach i absurdach Wieska kryje się więcej takiej mądrości.

Przed 20. rocznicą jego śmierci poprosiłam m.in. Pawła Kukiza i muzyków z „Big Cyca”, by skomponowali muzykę do tekstów Dymnego. Przeczytali je i oszaleli z zachwytu: „Rany boskie, pisze tak jak my. Tyle że my często potrafimy pisać tylko obscenicznie, a on był poetą!”. Myślę, że gdyby Wiesiek żył, stałby się dla młodych guru – był ostry w swojej twórczości, wręcz brutalny, ale skupiony na sprawach najistotniejszych. Zachwyca się nim mój syn, który wy-



chował się na Monty Pythonie, Toporze i Mroźku: „Mamo, on jest genialny, Monty zrywa z Dymnego!”.

– Czym Dymny nas jeszcze zaskoczy?

– Na 25. rocznicę śmierci Wiesia przeczytałam w Piwnicy pod Baranami niektóre listy, które pisywał do mnie w pierwszym okresie naszej znajomości. To piękne teksty miłosne, które powinny być opublikowane, żeby każdy zakochany wiedział, jak się pisze do kochanej kobiety. Chcę je wydać i mam pomysł, jak ta książka powinna wyglądać – jego listom będą towarzyszyły moje wspomnienia. I tu pies pogrzebany: mam pamięć emocjonalną – czas zaciera mi w pamięci fakty, lecz nie emocje, moje

wspomnienia byłyby więc obciążkami z życia. Na przykład w 1977 r. w 60. rocznicę Rewolucji Październikowej eksplodował nam radziecki telewizor Raduga – to chyba kłątwa Lenina – i spalił się nasz strych, skutkiem czego straciliśmy dach nad głową i mieszkaliśmy u znajomych. Dziesięć lat po śmierci Dymnego zrealizowano program o nim i kilku przyjaciół wspominało to zdarzenie. Ze zdumieniem słuchałam, jak każdy opowiadał inną historię, a przecież byli przy pożarze, bo

zbiegli się, by nam pomagać. Nie ufam więc pamięci: ani swojej, ani cudzej. Jak mam jednak pisać wspomnienia o Wiesiu? Jeśli już, mogę polegać wyłącznie na impresjach, które byłyby opowieścią o niezwyklej miłości, ale czy to kogoś obchodzi? Jednak prędzej czy później napiszę tę książkę.

Czy jestem tylko aktorką?

Tylko muszę znaleźć czas, a ciągle mi go brakuje. Powoli trzeba będzie schodzić ze sceny, a chciałabym wystąpić choćby w dwóch-trzech znaczących rolach. Jerzy Grzegorzewski planuje wystawić „Krzesła” Ionesco z Trelą i ze mną. Zagram 94-letnią staruchę. Wkrótce zaczną się próby w Teatrze im. Słowackiego, gdzie gościnnie zagram w „Czajce” Czechowa w reżyserii Andrzeja Domagalika. To dla mnie ważne przedstawienie: mając 17 lat debiutowałam na deskach Słowackiego – jako Isia w „Weselu” – a przed wielu laty grałam w „Czajce”, którą w Starym wystawił Grzegorzewski, ze wspaniałą rolą Teresy Budzisz-Krzyżanowskiej. Teresa grała Arkadynę, ja Ninę Zarięczną; teraz ja zagram Arkadynę, aktorkę nie pierwszej młodości, która musi opuścić scenę. Nie wiem, czy się nadaje do tej roli, chociaż gdzieś tam jest może o mnie. A przy okazji pierwszy raz zagram w teatrze, którego dyrektorem jest mój mąż. Nie wiem, jak to wpłynie na nasze życie domowe. Kupię chyba wojskowy kocioł na żupę.

– Co potem?

– Właśnie: co potem? Co z kapitałem, na jaki pracowałam 30 lat? Mogę wybrać zapomnienie albo spazmatycznie rzucać się na każdą propozycję w serialu czy reklamie; mogę też starać się mądrze wykorzystać to, co zebrałam. Obecnie aktor musi dokonywać trudnych wyborów. Odrzucam propozycje ról w serialach, ponieważ z tchórzostwa przed zmianą życia, bo gdybym się ugięła, czy potrafiłabym rozstać się z teatrem, szkołą aktorską, Salonem Poezji, Fundacją? A musiałabym, grając w kilkusetodcinkowym serialu kręconym w Warszawie.

Zadałam sobie kiedyś pytanie: czy jestem tylko aktorką? Jeśli tak, nie powinnam się wzdrygać przed serialem ani reklamą. Jaka jest moja wartość poza tym, że mam rozpoznawalną twarz? Czym zajmowałabym się, gdybym nie była znana? Czy mogłabym się wtedy komuś do czegoś przydać? Tak się złożyło, że zaczęłam wówczas pracować z niepełnosprawnymi dziećmi z radwanowickiego ośrodka kierowanego przez ks. Tadeusza Zaleskiego, zresztą laureata „Tygodnikowego” Medalu św. Jerzego. Okazało się, że umiem nawiązać kontakt z niepełno-

sprawnymi, mogę im pomóc i sprawić radość – jestem im potrzebna. Potem telewizja zauważyła, że nie boję się chorych, umiem mediować między światem zdrowych i chorych, dlatego prowadzę program „Spotkajmy się”.

Odrzucam propozycje ról w operach mydlanych, bo wolę rozmawiać z chorymi i cierpiącymi – może w ten sposób bardziej pomagam, niż gdybym występowała w serialach. Ktoś powie: „Wiele straciła, bo mniej gra”. Nieprawda. Mój świat poszerzył się i zyskałam od cierpiących więcej, niż sama im dałam. Widzowie piszą, że dają im odwagę, by zmagać się z cierpieniem i żyć godnie. Z pewnością nie należą mi się takie podziękowania; jeśli tę odwagę znajdują, to wyłącznie dzięki własnej woli. Piszą też o nędzy, której istnienia nie podejrzewałam, np. dziewczyna ze wsi z porażeniem neurologicznym, która nikomu nie jest potrzebna. Nie umie pisać, list podyktowała koleżance. Pojechałam do niej. Ojciec alkoholik, matka ciężko chora, brat rzadko w domu. „Dziecko – pytam – o czym marzysz?”. „O niczym, nie mam żadnej nadziei”. Żyjemy w XXI wieku, a nie umiemy pomóc ludziom skazanym na beznadzieję. Chodzę po wsi i rozpytuje: „Jest tu wójt?”. „Jest, a co?”. „Może zorganizowałby dla tej dziewczyny pomoc?”. „No co pani!”. „A może ksiądz?”. „E tam, ksiądz!”. Nie wiedziałam, że żyjemy na pustyni. W końcu znalazłam w sąsiedniej miejscowości bliźniaczki z porażeniem mózgowym, ale pełne radości, które obiecały odwiedzić dziewczynę, co wyrzekła się marzeń.

Przed ubiegłoroczną Wielkanocą czytałam w radio powieść „Oskar i pani Róża”. Marzę, by ktoś przerobił te listy umierającego dziecka do Boga i rozmowy z wolontariuszką, która ma odwagę spojrzeć śmierci w oczy, na monodram sceniczny. „Oskar” jest opowieścią o tym samym, czemu poświęcam program „Spotkajmy się” – o oswojaniu bólu, cierpienia i śmierci. Oskar mówi: „Do szpitala nie przychodzi się wyłącznie zdrowieć, ale też i umierać”. Ale jak umierać: w samotności, czując się odrzuconym i wzgardzonym przez zdrowych? W moim programie spotykam się np. z młodymi ludźmi skazanymi na śmierć, ale są to ludzie mężni i cieszący się każdą chwilą, jaką darował im los. To oni uczą mnie radości życia, to dzięki nim nie przejmuję się słysząc, że Dymna założyła Fundację „Mimo Wszystko”, bo zachciało się jej grać Matkę Boską.

– Mimo wszystko?

– Mimo rzeczywistości. Mimo że ludzie chorują i umierają, nie wolno odmawiać pomocy kalekom czy niepełnosprawnym. Mimo wszystko starać się, by ich życie było godniejsze niż jest. Mimo wszystko kochać, pomagać, dawać z siebie wszystko! Założyłam Fundację, by ratować niepełnosprawnych umysłowo przyjaciół z Radwanowic, z którymi prowadzę warsztaty terapii artystycznej, m.in. zajęcia teatralne. Po nowelizacji ustawy o zatrudnieniu i rehabilitacji niepełnosprawnych

część podopiecznych ks. Zaleskiego straciła prawo do warsztatów – pozbawiono ich tego, co nadawało sens ich życiu. Nie mogliśmy pozwolić, by część niepełnosprawnych kiwała się monotonna przy ścianie, podczas gdy inni uczestniczą w zajęciach. Dzięki Fundacji wszyscy mogą uczestniczyć w warsztatach, które wyposażyliśmy i przy których zatrudniliśmy terapeutów.

Przed rokiem studenci ASP starali się uratować kolegę chorego na raka i Fundacja z Maciejem Stuhrem prowadziła aukcję na jego rzecz. Uzbierałoby 68 tys. złotych na operację za granicą, niestety za późno, chłopak umarł. Wtedy w głowach jego zrozpaczonych kolegów zrodził się pomysł, by założyć fundację, która zbierałaby pieniądze na ratowanie chorych studentów. Gdy poprosili mnie o pomoc, uznałam, że trzeba wykorzystać ich entuzjazm i szalone pomysły. Rektor ASP podpisał ze mną umowę, dał studentom biuro i odtąd prowadzą oddział mojej Fundacji – „Studenci Studentom”. Opiekują się już trzema chorymi kolegami: kupują leki, zbierają fundusze na implant i rehabilitację.

Fundacja opiekuje się ludźmi, których znamy z imienia, jak np. rodziną, która – mimo trudnej sytuacji finansowej, bo mąż jest rencistą, a żona straciła pracę – adoptowała trójkę ciężko chorych sierot. Pożyczam im przekazany Fundacji przez Bank Śląski samochód. Ci ludzie niczego nie żądali, ale gdy moi współpracownicy dowiedzieli się, ile kilometrów mają do szpitala, sklepu i szkoły, uznali, że to konieczne.

– Skąd Pani czerpie siłę, by mierzyć się nie tyle z problemami wynikającymi z zarządzania Fundacją, co przede wszystkim z ludzkim cierpieniem?

– Dostaję ją od tych, którym pomagam. W „Spotkajmy się” rozmawiam z umierającymi, którzy promieniują radością i energią. Po programie zastanawiam się, skąd moi rozmówcy czerpią tyle siły; by obdarzać nią innych? Widzowie, często poruszeni, piszą, że chcą robić coś dobrego, ale nie wiedzą jak. Ja uczę się tego od moich rozmówców i podopiecznych i staram się tym zarażać innych. Jest nas coraz więcej! Udaje nam się uruchamiać lawiny dobroci, mimo wszystko. Moim największym marzeniem jest zbudowanie nadmorskiego ośrodka rehabilitacyjno-wczasowego dla niepełnosprawnych, okaleczonych, skrzywdzonych przez los, bo im także należy się wypocznik i chwila szczęścia na plaży. Mamy już obiecany teren. Może następnym razem o tym porozmawiamy?

Korzystając z okazji, chcę podziękować bliskim i przyjaciołom, ludziom dobrej woli, którzy mnie wspierają, wszystkim chorym i cierpiącym, których znam i nie znam. Wesołego Alleluja, mimo wszystko!

Fundacja Anny Dymnej „Mimo Wszystko”
(ul. Kościuszki 43, Kraków 30-114)
Numer konta: ING Bank Śląski
70 1050 1445 1000 0022 7599 1459

